

POLSKA WALCZĄCA

TYGODNIK GROMADY ŻOŁNIERSKIEJ

LA POLOGNE EN LUTTE — HEBDOMADAIRE MILITAIRE — PRIX UN FRANC

W OBOZIE POLSKIM.

DNIA 10 GRUDNIA 1939 r.

NUMER DRUGI

ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ

Kiedy w 1918 roku, w miesiącu opadających liści, w miesiącu pamiętek, powstała do nowego życia Polska — witano na Zachodzie ten wielki fakt dziejowy jako zwycięstwo sprawiedliwości. — *Nasza literatura historyczna* — mówił w 1918 roku Clemenceau — *twierdziła, że od chwili rozbioru Polski, Europa znajduje się w stanie grzechu śmiertelnego. Zwycięstwo koalicji zmyło tę hańbę z karty świata.*

Takie samo stanowisko zajmowała Anglja i Włochy. Było ono niewątpliwie słuszne, ale z drugiej strony ograniczało z góry rolę Polski, jako pierwszorzędnego czynnika w polityce europejskiej. Stośunek wielkich mocarstw zachodnich wobec Polski, nacechowany zresztą i ogromną przyjaźnią i szczerą życzliwością — przypominał tę rolę, jaką odegrała Europa w czasie walk o niepodległość Grecji. Fakt, że kraj dawnych Hellenów, na których kulturze oparły się zręby cywilizacji europejskiej pozostawał pod jarzmem obcym, że potomkowie Milejadesa i Platona walczą rozpaczliwie o wolność — fakt ten stał się w pierwszej połowie XIX-go wieku wyrzutem sumienia Europy. I był on jednym z najważniejszych powodów, dla których zagrzaniły armaty pod Nawarinem. Grecja, ograniczona zresztą ściśle do swego terytorjum etnograficznego, zyskiwała niepodległość, jakkolwiek do zakresu roli politycznej, jaką to państwo mogło odegrać — nie żywił nikt najmniejszych złudzeń.

Inaczej natomiast przedstawiała się sprawa polska. Jeżeli słuszne jest zdanie Taine'a, że przyszłość państw europejskich wypisana jest na karcie geograficznej — to jeden rzut oka na mapę pozwala określić rolę Rzeczypospolitej. Polska jest ostatnim krajem łacińskim w środkowo-wschodniej Europie. Polska, wielki naród o tradycjach rzymskich i chrześcijańskich, a więc broniących zasad wolności indywidualnej, praw duszy ludzkiej a tem samem i praw człowieka — musiała być szansem tej kultury zachodniej i łacińskiej, której pierwsze karty zapisywały dzieje Francji, Italji i Anglji. *Rzeczpospolita była wyspą wolności między bizantyjskim carostwem a totalizmem pruskim.* Położona w samym środku Europy zajmowała kluczowe stanowisko, o ile chodzi o cały splot kwestyj kulturalnych, religijnych i społecznych. Te prądy, jakie szły z Zachodu na Wschód i ze Wschodu na Zachód — krzyżowały się nad Wisłą i Wartą. Był okres, kiedy od nas tylko zależał ruch i kierunek tych wielkich fal dziejowych, które wstrząsały Europą. Przez wieki całe byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa, neutralizując jednocześnie wpływ te-

oryj niemieckich, uzależniających sumienia i dusze ludzkie od osoby, poglądów i nawet religij panującego. Stworzyliśmy tak wolnościowe podstawy ustroju państwowego, jakich, za wyjątkiem Anglji, nie znała reszta państw europejskich. Można tu bez obawy powtórzyć wielkie słowa ks biskupa Dutoil, że "Polska związała swój los z prawdami, które są nieśmiertelne."

I rola dziejowa Rzeczypospolitej uwidoczniła się natychmiast po odrodzeniu Państwa Polskiego. W roku 1920, odpierając atak bolszewicki, ochroniliśmy Europę przed groźbą katastrofy, jaką było połączenie Niemiec i Rosji, a więc mongolsko-pruski totalizm na przestrzeni połowy Europy i Azji, od Akwizgranu aż po Władywostok. *Ze łaciński Zachód, wyczerpany do ostatnich granic wojną światową, zdołał dwadzieścia lat temu ocalić podstawy swojej kultury, opartej na wolności myśli i sumienia, że fala niemieckomoskiewska nie uderzyła po raz drugi o Paryż, Londyn i Rzym, że nowopowstałe państwa środkowo-europejskie zachowały swój niepodległy byt, że wszystkie, tak niesłychanie dla rozwoju naszej kultury ważne fakty dziejowe — ma Europa do zawdzięczenia Polsce.* I zdanie powyższe niema bynajmniej jakichkolwiek cech pokrewnych z pospolitym frazesem, jaki na nasze nieszczęście panoszył się przed wojną zarówno w Polsce, jak i zagranicą.

Jest to prawda, której doniosłość historyczną stwierdzają w oczach Europy i świata najnowsze wypadki. Gdy w naród polski uderzyło na jesieni 1939 roku nieszczęście, gdy armje niemiecka i rosyjska zalały terytorjum Rzeczypospolitej — *runęła niepodległość Estonji i Łotwy, została zagrożona niezależność Litwy i Finlandji, coraz poważniejszą staje się sytuacja Rumunji i Węgier, coraz krytyczniejsze jest położenie wszystkich państw bałkańskich, a nawet i Włoch.*

Było to do przewidzenia. Ale raz jeszcze okazało się, że podobnie jak poszczególne człowieka, tak również i całych społeczeństw nie można teoretycznie przekonać o wielkich pewnikach historycznych. Trzeba dopiero wstrząsu, trzeba wrzasku brutalnych faktów, aby nietylko w Tallinie, Rydze i Helsinkach — ale i w Belgradzie oraz w Rzymie pojęto niebezpieczeństwo, jakim grozi kulturze łacińskiej i całej cywilizacji europejskiej klęska Polski i coraz to bardziej zaciśnięte się porozumienie moskiewskoberlińskie. Z następstw zajęcia Krakowa i Warszawy przez Niemców a Lwowa przez boszewików — zdaje sobie już sprawę zarówno naród jugosławiański, jak i kierownicy

polityki włoskiej, którzy w tragedji dzisiejszej nie są bez winy. Ostatnie artykuły p. Gaydy, rzecznika poglądów rządu Mussoliniego, zwracające się przeciwko "niedopuszczalnej hegemonji czynników wrogich kultury rzymskiej" — są bardzo znamienym objawem tych odchylen i zmian, jakie od kilku tygodni okazuje polityka włoska.

A wolność i niepodległość państw zachodnich, Anglji i Francji? Łączy się ona również, i to bardzo ściśle, z wojną polską, z losem Rzeczypospolitej. Naród nasz ożywiony był najlepszym duchem, wspaniałym męstwem tudzież wolą zwycięstwa — i już dzisiaj wiemy dobrze, że nie jego winą był krótki, za krótki okres stawiania oporu najeźdźcom. Ale i tak, te trzy tygodnie walki na ziemiach polskich — pozwoliły Francji i Anglji przeprowadzić mobilizację, umocnić się na linjach oporu, ściągnąć wojska z najdalszych zakątków imperjum — i przekreślić wszystkie rachuby niemieckie, dotyczące "błyskawicznego zakończenia wojny".

Walcząc na ulicach Warszawy — broniliśmy nietylko swej stolicy, ale również bulwarów Londynu i Paryża. Łuna pożarów, która zakrwawiła niebo nad Częstochową i Warszawą — dzięki naszej, rozpaczliwej walce, nie rozpostarła się ani nad cudownymi wieżami katedry w Reims, ani nad Luwrem.

A wolność narodów, niepodległość Czechosłowacji, Węgier, Rumunji, państw bałtyckich i państw bałkańskich, jak również bezpieczeństwo wielkich narodów zachodnio-europejskich nadejdzie wówczas, gdy zwycięski wynik wojny przywróci wolność i potęgę Polski. Bez wolnej, wielkiej i silnej Rzeczypospolitej — niema mowy o wolności czy pokoju Europy i świata.

Przez długie wieki potwierdzały dzieje słuszność zdania: "Gesta Dei per Francos" — „Czynny Boże dokonują się przez Francuzów”. Ostatnia wojna stwierdzi jeszcze jedną, wielką prawdę: "Libertas mundi per Polonos". Wolność świata przez Polaków. Było to najpiękniejsze i najznioslejsze określenie ducha dziejów Polski i jej stosunku do kultury i postępu ludzkości. W obronie tego hasła ginęli nasi przodkowie. I z tym hasłem pójdziemy w bój, wierząc, że spełnią się słowa pieśni, którą rozbrzmiewa o-bóz:

*Leć nasz orle w górnym pedzie,
Stawie, Polsce, światu służ!*

Tadeusz Kiełpiński

MIN. ŁADOS DO CHŁOPÓW POLSKICH

Dnia 19 listopada, minister Aleksander Ładoś wygłosił na fali Radio Toulouse i Radio Rennes, przemówienie skierowane do chłopów pozostałych w Polsce okupowanej przez Niemców i Rosjan. Ponieważ to przemówienie dotyczy naszych najbliższych, ponieważ odłania w prostych i mocnych słowach pogląd Rządu na sprawy, które się tu zaprzątały w myśli i sercu — Redakcja „Polski Walczącej” uznała za słuszne ogłosić drukiem główny ustęp tego przemówienia.

Przemawiam dziś do was jako wasz reprezentant w rządzie, który jest jedynym rządem legalnym Rzeczypospolitej, uposażonym w pełni praw, uznanym przez aliantów i państwa neutralne, jako rząd Państwa Polskiego, choć wypadki zmusiły nas do urzędowania poza granicami kraju, na gościnniej ziemi francuskiej. Jesteśmy rządem jedności narodowej. Pod przewodnictwem Naczelnego Wodza Wojsk Polskich, gen. Władysława Sikorskiego, skupiły się w nim wszystkie stronnictwa, reprezentanci wszystkich warstw i odłamów społeczeństwa i wszystkich wielkich kierunków ideowych. Nie wszystkim tym, których pragnęlibyśmy widzieć w naszym gronie, było danem znaleźć się tu z nami. Próżno może szukać wśród nas nazwisk osób, które wspólnie otaczamy największą czcią. Nie uznaliśmy za możliwe wykluczyć od współpracy nikogo, kto podejmuje ją z nami z pełną dobrą wolą. Chcemy w obliczu obcych dać przykład zgody narodowej i skupienia wszystkich zdrowych sił narodu dla wspólnego celu. Sądzimy, że postępujemy słusznie.

Rząd Jedności Narodowej postawił sobie jako główny cel zorganizowanie Armii Polskiej we Francji. Nie będą to żadne legjony, nie będą to oddziały pomocnicze armii obcych. Będzie to rzeczywista armia suwerennego państwa i narodu, armia pod własnym dowództwem, z własnymi sztandarami, odznakami i komendą. Będzie za-

opatrzona we wszystkie środki techniczne nowoczesne. Armia ta, do której odnosimy się z największą dumą i miłością, przypomni światu przysłowiowe męstwo żołnierza polskiego, zadokumentuje nieprzerwane istnienie Państwa Polskiego i wróci do kraju, opromieniona decydującym zwycięstwem, a by stanowić najpewniejszą gwarancję samodzielnego bytu i potęgi Polski. Synowie chłopscy i robotniczy, którzy i tu, jak wszędzie, stanowić będą główny zrab jej szeregów, mogą być pewni, że pod dowództwem Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego walczyć będą o własną sprawę, o taką Polskę, o jakiej myśły zawsze marzyli.

Jako równouprawnieni sprzymierzeńcy Anglii i Francji, dbać będziemy o to, aby polityka zagraniczna naszego państwa pozostała wierna tym wielkim hasłom, o których realizację w życiu międzynarodowym toczy się właściwie obecna wojna. Są to hasła wolności narodów i ludzi, hasła sprawiedliwości, panowania prawa w życiu międzynarodowym, hasła trwałego pokoju, które-goby nie mogły już mieć ustawiczne zaborce apetyty i plany rozbójniczych państw totalnych. Polityka demokratyczna, polityka zgodna z najlepszymi tradycjami narodu polskiego, który niejednokrotnie walczył o własną wolność, niósł ją zarazem bliższym i dalszym sąsiadom. Prowadząc w myśl tych hasłał politykę zagraniczną, dbać będziemy o to, aby przy ustalaniu celów wojny i przy zawieraniu traktatów pokojowych po zwycięstwie, dać Państwu Polskiemu najlepsze warunki bytowania i granice, któreby zapewniły mu bezpieczeństwo i uniemożliwiły w przyszłości powtórzenie takiej napaści, której obecnie padliśmy ofiarą. U aliantów naszych znajdujemy pełne zrozumienie tych potrzeb.

W chwili obecnej, wobec okupacji kraju, Rząd nie może przeprowadzić tych reform wewnętrznych, których konieczność zarysowała się tak jaskrawo na tle ostatnich wypadków. Jeśli przygotować mamy projekty takich reform, to tylko jako materiały dla przyszłych decyzji, które zapadną w kraju, o których rozstrzygnie sam naród, a przede wszystkim chłopci polscy, jako najliczniejsza jego warstwa. Nie chcemy Wam nic narzucać i o niczem bez Was stanowić. O przyszłym ustroju Rzeczypospolitej ludowej, o aktach sprawiedliwości społecznej i rozmiarze uprawnień politycznych stanowić będzie sam naród. Już dziś jednak podkreślić musimy, że przywrócenie w pełni panowania prawa i sprawiedliwości, oraz wprowadzenie demokratycznego ustroju jest koniecznością dziejową. Przyszła Polska będzie Polską ludową i demokratyczną.

Tymczasem zajęliśmy się uprzątnięciem gruzów, któreby mogły przeszkadzać w budowie nowego państwa. Przestał istnieć dawny rząd, na którego miejsce, drogą prawną i konstytucyjną został powołany nasz rząd, oparty na zasadzie współpracy wszystkich stronnictw. Rozwiązane zostały — Sejm i Senat, które wyszły ze smutnej pamięci ostatnich wyborów, zhojkotowanych przez wszystkie niezależne ugrupowania polityczne. Nowe wybory, na zasadzie demokratycznej ordynacji wyborczej zostaną zarządzane natychmiast, jak tylko ustanie okupacja ziem polskich przez wrogów.

Jednym z pierwszych aktów nowego rządu było też formalne przywrócenie więźniom brzeskim, z prez. Wincentym Witossem na czele, tych praw, honorów i zaszczy-

tów, których w naszym pojęciu nie byli nigdy rzeczywiście pozbawieni. Najpełniejszą amnestją dla nich wszystkich była ze strony Prezydenta Rzeczypospolitej i nowego Rządu tylko aktem prostego obowiązku, a zarazem stwierdzeniem, że wchodzi na drogę nową, przywracając w pełni poszanowanie rzeczywiste prawa.

Nie zapominamy o potrzebach materialnych kraju, zniszczonego wojną, wygłodzonego przez okupantów, ogałanego przez rekwizycje i grabieże.

Organizujemy pomoc międzynarodową nie tylko dla licznych rzesz wygnańców, ale przede wszystkim dla całego kraju. Cierpiąca głód i nędzę ludność naszych wsi, miasteczek i miast może być pewna, że nie tylko śledzimy z bólem i współczuciem jej los, ale czynimy i czynić będziemy wszystko, co w naszej mocy, aby ulżyć jej cierpieniom i przyjść jej z pomocą.

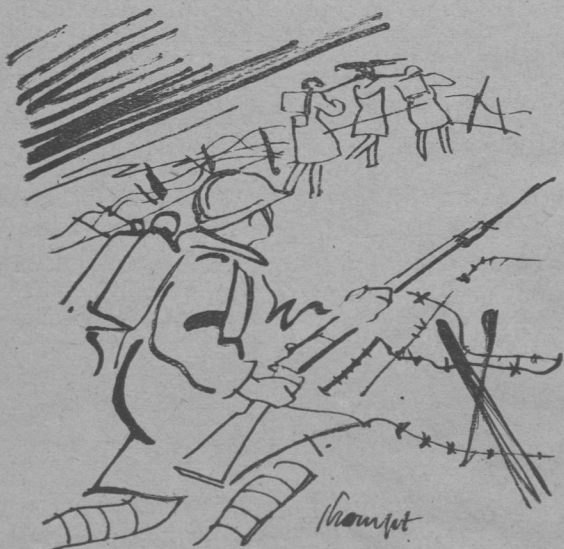
A wreszcie chcę wyraźnie oświadczyć, że Rząd nie tylko nie uznaje i nigdy nie uzna aktów gwałtu i przemocy, dokonywanych przez okupantów w stosunku do ludności, nie uznaje i nie uzna pozbawienia ludności przemocą własności i ziemi, przesiedlenia jej siłą i usuwania z ziem odwiecznie polskich, ale nie spocznie, dopóki wszystkie wyrządzone krzywdy nie zostaną naprawione, grabieżcy usunięci, a winni ukarani. Ktokolwiek korzysta dzisiaj z zarządzeń, na szkodę ludności polskiej wydawanych, niech pamięta, że będzie musiał z tego zdać sprawę. I ktokolwiek przez złą wolę, lub choćby słabość tylko, pomaga okupantom w ich niecznym dziele, niech wie, że nie ujdzie zasłużonej, a surowej karze.

Bracia chłopci:

Być może, że wojna obecna potrwa jeszcze czas dłuższy, że okupacja przeciągnie się na miesiące, nawet lata, że czas dłuższy będziemy pozbawieni tego bezpośredniego z wami kontaktu, który tak bardzo chcielibyśmy utrzymać. Nie chcemy od was wiele: chcemy tylko, abyście w najcięższych nawet chwilach zachowali wiarę w ostateczne zwycięstwo, chłopską godność i hart ducha, wytrwałość w pracy, nieprzystępność dla wrogich poczynań. Chcemy, abyście z chłopską zawziętością i uporem trwali przy swoim, wierząc, że przyjdzie godzina sprawiedliwości.

Chcemy wreszcie, abyście ufnie czekali na dalsze wskazania i rozkazy prawowitego Polskiego Rządu, który prowadzi walkę o wyzwolenie Ojczyzny z dalekiej, ale drogiej nam Francji.

Redakcja „Polski Walczącej” prosi o nadsyłanie wszelkich materiałów literackich, rysunkowych i fotograficznych do sekretariatu, który mieści się w Bibliotece Obozu (budynek C 1 obok świetlicy).



rys. Zygmunt Haupt

LIST DO REDAKCJI

Prześwietna Redakcjo!

Skierowaliście pod moim adresem pytanie wręcz nieprzychylnie i takie, że powinienem obrazić się na śmierć, mianowicie pytanie: «Czyby Pan nie napisał feljetonu dla gazety obozowej?» Jakto? Więc mnie, Nowakowskiego, wypada pytać o takie rzeczy?! Skandal! Gorzej powiem: św...! Nowakowskiemu powinno się w podobnym wypadku kazać i koniec! «Ma Pan dostarczyć najdalej za godzinę tyle a tyle wierszy!» Odpowiedziałby: «Rozkaz!» i napisał to, czego chcecie. Doprawdy, mało brakowało, abyście spytali o moje warunki, o honorarium! Prześwietna Redakcjo, tak się nie robi!

Miętkie jednak mam serce i dlatego wzbudzone flukta gniewu opadły we mnie rychło. Co więcej, wdzięczny jestem Panom za to, że pamiętaliście o mnie, więc o b. albo nawet ś. p. feljetoniście niedzielnym, który teraz czuje się bardzo niepotrzebny na bożym świecie. Ciekawa rzecz, Wy właśnie, którzy teraz karabinu z ręki nie wypuszczając, musztrę odwalacie, Wy, nie kto inny, ale Wy pierwsi założyliście gazetę i Wy pierwsi pomyśleliście o słowie pisanem, o jego roli. Zamiast, jako żołnierze, mówić: «na początku był karabin», doszliście do wcale słusznego wniosku, iż na początku winno być przecieć... słowo. Jestem wam za to bardzo wdzięczny, sądzą zaś, że podziwiają moje uczucia wszyscy więksi i jeszcze mniejsi pisarze polscy, dumający teraz na paryskim bruku.

O czymże mamy dumać? No, przede wszystkim o Was, o Żołnierzach polskich, jako że jesteście w naszym życiu czemś bardzo jasnym, czemś radosnym, tak pozytywnym, tak, — nie waham się rzec — morowem, że w porównaniu z Wami wszystko inne, więc nawet wyżej wspomniane Słowo, słowo przez duże «S», musi iść w ką. Bo, widzicie — a mówię to Wam w sekrecie i pod gwarancją, że moje zwierzenia dalej między ludźmi nie pójdą! — widzicie, choć literat, przecieć i mimo wszystko uważam, że na początku musi być... karabin.

Na początku musi być żołnierz i wszystkie rzeczy, które jego, żołnierza, są. Więc nietylko sam karabin, nietylko armata, ale także Wasze n. p. buty, butów tych (oby całe!) podeszwy, Wasz koc, Wasza koszula, która wyjątkowo powinna być bliższa ciała naszego, niż koszula własna, dalej, żeby nie wychodzić już z kręgu tych samych kategorii, Wasze kalessony, alias — z przeproszeniem — gacie. Oto są, sprawy, które nas obchodzić powinny, o resztę bowiem, t. j. o ducha żołnierskiego, troszczyć się już Wy sami; Wasza to sprawa rodzona a nikt nie wątpi, że gdy przyjdzie co do czego — kiedyś, u diabła, przyszść musi! — spiszeć się pierwszorzędnie.

Kaligrafuję ten list w hotelu i papierosa nie wypuszczam z gęby, która niedgdy, jeszcze niedawno, śmiać się umiała szeroko. W tychże kłębach gęstych błękitnego dymu Gauloisów i t. p. Caporalów widzę Was wyraźnie, powtarzając sobie, że na początku był i musi być żołnierz. Ale, ale... Jest jeszcze coś, co dorównuje Wam znaczeniem i ciężarem gatunkowym. Mam na myśli kraj nasz, który także widzę w kłębach dymu, tylko że dym ten jest czarny, posepny, duszący. To dym pogorzeliśk Warszawy, to gorący jeszcze popiół na zgliszczach miast, wsi, kościołów, szpitali, szkół...

Z błękitnego pokój mój stał się czarny,

NA GRANICY POLSKO - GDAŃSKIEJ

Na dwanaście dni przed wojną zostałem przeniesiony z placówki Straży Granicznej Tymawa do nowoutworzonej placówki Sztolfrowa Huta w formującym się komisariacie Lubań — na granicy polsko-gdańskiej, 18 kilometrów od Wolnego Miasta Gdańska. Na tej placówce zastała mnie wojna, tam padły do nas pierwsze strzały, tam pierwszy raz odpowiedziliśmy strzałami.

Sztolfrowa Huta, nędzne osiedle kaszubskie liczące 15 chałup. Budynek skarbowy, w którym miała się mieścić placówka, był cały zżarty przez grzyb, pełen wilgoci. Miejskał tam jeden strażnik nazywany przez nas «smykiem», gdyż tym imieniem nazywała go żona. W tym domu miałem otrzymać dwa pokoje i kuchnię, lecz zrezygnowałem z mieszkania, umieszczając się w pokoiku kawalerskim. Placówka nie posiadała nic, nawet najniezbędniejszego sprzętu biurowego. Teren nie był rozpoznany. Połowę odcinka placówki znali dwaj strażnicy, resztę trzeba było samemu rozpoznawać.

Granica biegła dość oryginalnie, był to bowiem cypel gdańskiego terytorium wrzynającego się najbardziej w głąb Polski w kierunku zachodnim, odcinek trudny do opasowania, górzysty, gliniasty, pełen jarów, strumyków i kamieni. Z prawej strony placówka «Guzy», z lewej placówka «Egertowo». Z terenem zaznajamiałem się w ciągu

taki właśnie, jak codzienne nowiny stamtąd, z kraju. Wyroki śmierci, głód, choroby, nędza, obozy koncentracyjne, grabież całego naszego majątku narodowego, gwałt i nikczemna przemoc, brutalne próby zdeptania honoru, przenoszenie z miejsca na miejsce i jakby tasowanie tysięcy ludzi, ucisk, któremu równego nie znają dzieje świata, bezprawie, szyderczy uśmiech i urąganie wszystkiemu, co boskie, ludzkie i polskie — oto gorzka litanja faktów, która zresztą nie wyczerpuje całego obrazu. Sama dłoń zaciska się w pięść, a z gardła wyrwa się krzyk i mój czarny pokój staje się nagle czerwony.

Jest jednak w tym posepnym obrazie punkt jasny: oni tam nie ulegli, biją się jeszcze gdzieś na Podkarpaciu, na Podhalu, w głębi lasów Świętokrzyskich, nie wypuścili broni z ręki, nie ugili karków. A gdy Niemcy spróbowali poszukać ludzi dogodnych sobie, aby na miejscu stworzyć karykaturę rządu polskiego, nie znaleźli ani jednego Hachy i usłyszeli nieustępliwe, twarde: «Niel!» I dlatego ten kraj nasz wyrasta przed oczyma wysoko, wysoko, ponad wszystko inne, nawet ponad Was, Panowie Żołnierze. Patrząc nań, musimy powiedzieć sobie, że na początku był kraj!

Był, jest i będzie na wieki wieków, Amen!

A porządek w nim zrobicie Wy, gdy zacznie się rzecz właściwa. To znowuż jest Wasza żołnierska sprawa, niczyja inna, napewno zaś, gdy myślicie o tym porządku, robi się Wam w oczach czerwono.

Kłaniam się Panom nisko i pozdrawiam serdecznie. Zawsze, zawsze z każdym interesem, z każdą sprawą walczę do mnie, jak w dym. Jak w ten dym błękitny, w którego kłębach widzę znowu Was i tylko Was. Ale, na miły Bóg, nie przysyłajcie mi już nigdy listów, zaczynających się od nieprzychylnego pytania: «Czyby Pan nie napisał...» Przecieć to najprostsz, powiem nawet «psi» (a psy bardzo lubię!) obowiązek literata, który się kreśli Waszym oddanym sługą —

Zygmunt Nowakowski

kilku godzin, posługując się mapą, którą posiadał jeden ze strażników.

Służba była nadzwyczaj uciążliwa. Granica wiała się serpentynami, zygzakami, łatwo było ją przekroczyć, co było zgubne w skutkach, bo straż gdańska zaraz otwierała ogień. Nas było bardzo mało, bo zaledwie pięciu ludzi, długość odcinka granicy wynosiła 12 kilometrów i w dodatku byliśmy ciągle śledzeni przez miejscowych Niemców. Pod względem narodowościowym odcinek placówki przedstawiał się następująco: W Sztolfrowej Hucie na 75 mieszkańców — 30 Niemców, we wsi Szpan na 120 mieszkańców — 80 Niemców, we wsi Szumileś na 300 mieszkańców — 200 Niemców.

Ani wywiadem, ani rozpoznaniem przedpola nie można się było zająć, bo nie miałem ludzi, a w dodatku co drugi lub trzeci dzień musiałem jeździć do Skarszew na odprawę, w czasie której nie mówiło się o niczym innym, tylko o porządkach, o malowaniu podłóg, bieleniu i t. p., ciągle było słychać: «Pan inspektor tego sobie życzy» itd.

Czasy stawały się coraz niepewniejsze, słyszało się ciągle, że tu było naruszenie granicy, to tam było naruszenie granicy. Granica coraz bardziej niespokojna. Niemcy zaczęli opuszczać Polskę i uciekać na teren gdański. Zostawiali swoje majątki i inwentarz. Przeszkadzaliśmy im tylko w przepędzaniu bydła i koni. Starosta kościerski zarządził obsadzić administratorów-Polaków, którzy zarządzali majątkami. Cieszyliśmy się, widząc, jak wzrasta polski stan posiadania.

20 sierpnia dostałem wzmocnienie placówki w ilości 5 rezerwistów z komisariatu Skarszewy. Organizacja nowego komisariatu Lubań nie doszła do skutku i Sztolfrowa Huta należała do Skarszew, a Egertowo do Kartuz. Do komisariatu miałem 27 kilometrów. Dało mi się we znaki to częste jeżdżenie na odprawy, ponadto otrzymałem rozkaz zrobienia szkicu przedpola z naniesieniem wszystkich umocnień gdańskich i gniazd broni maszynowej. Pracy było powyżej uszu.

W ciągu tygodnia otrzymałem list od żony, której kilka dni przedtem poleciłem zlikwidować mieszkanie i przygotować się na wyjazd do rodziców. Pisała w nim, że nie może sobie dać rady z pakowaniem rzeczy, oraz że muszę koniecznie przyjechać, aby jej w tym pomóc. Odpisałem, że przyjechać nie mogę. Z ostatnich niemal pieniędzy posłałem jej 20 złotych, aby miała za co jechać. Sam zaś zacząłem myśleć nad tym, w jaki sposób dostać się do Tymawy.

Wykorzystałem nadarżającą się okazję, a było to tak: Na sobotę była zapowiedziana odprawa w komisariacie. Pojechałem wcześniej, aby być przed ósmą w Skarszewach, tam zachodzę do mieszkania komendanta i kłamię mu, jak z nut, że wczoraj telefonicznie rozmawiałem z żoną, że żona zachorowała, znajduje się bez opieki i t. d., proszę zatem o pozwolenie wyjazdu. Kręcił się biedak jak piskorz, bo inspektor zapowiedział wizytację porządkową, jednak pozwolił.

Rower na pociąg i do Starogardu, stamtąd autobusem do Gniewa, później rowerem do Tymawy. Co za ogromna radość żony, trudno opisać. Niedługo jednak ta radość trwała. Po dwóch godzinach otrzymuję telefoniczny rozkaz z Komisariatu: Natychmiast wracać!

Dziwna to była podróż. W Morzeszczynie wróciłem się do Smętowa, aby stamtąd jechać do Skarszew, ale mnie zatrzymano.

Transporty wojskowe szły jeden za drugim i zakorkowały całą linię na Czersk. Musiałem wracać na Morzeszczyn, Tczew, gdzie przeczekalem całą noc. Do Skarszew dotarłem około 12 w południe, stamtąd dowlokłem się rowerem do placówki.

Granica coraz bardziej niespokojna, coraz częstsze przekraczanie jej przez hitlerowców, ciągle ucieczki Niemców do Gdańska. Ludzi nie starcza mi do obsadzenia odcinka. Wczoraj był napad na punkt przejściowy w Szumlesiu, steroryzowali posterunkowego P. P., lecz do użycia broni nie doszło.

W środę t. j. dn. 30 sierpnia otrzymałem telefoniczny rozkaz z Komisarjatu, aby zebrać placówkę, bo przyjedzie płatnik i będzie płacił zaliczki. Nadjechał, wypłacił każdemu z nas zasadnicze pobory. Dostałem 160 zł., z których 100 zł. posłałem żonie na adres ojca. Uradowała nas zaliczka, żartowaliśmy, że wojna rozpoczyna się wypłatą pieniędzy.

Na drugi dzień wysłałem depeszę pilną do ojca z pytaniem, czy żona jest u niego. Nie wiem, czy depesza doszła, odpowiedzi bowiem już nie otrzymałem. Zwracałem się telefonicznie do Tymawy z pytaniem, czy żona wyjechała, nie mogłem się jednak skomunikować. Stuk aparatów telegraficznych był tak wielki, że uniemożliwiał usłyszenie czegokolwiek.

Noc z czwartku na piątek, t. j. z dnia 31 sierpnia na 1 września zeszła spokojnie. Placówkę trzymałem w pogotowiu. Obawiałem się nocnego zaskoczenia i dlatego też nakazałem bojową służbę placówki. Zadanie miałem podane dawniej. Mówiło ono, że w razie telefonicznego rozkazu z Komisarjatu mam wycofywać się w kierunku na Kościerzynę-Starogard. Wycofując się, zniszczyć most na szosie do Kościerzyny, który już był podminowany. W czwartek tydzień temu pisałem list do ojca, wspominałem, że boję się tylko zaskoczenia, bo potem co ma być, to Bóg tylko wie i będzie to, co da.

W piątek t. j. dnia pierwszego września o godz. 4 45 obudziły nas silne, lecz dalekie detonacje. Dowiedzieliśmy się, że w nocy zostało proklamowane przyłączenie Gdańska do Rzeszy. Gdy nastał dzień, ujrzeliśmy chorażę z hitlerowskimi swastykami, powiewającą na domach obywateli gdańskich po drugiej stronie granicy. Około godziny ósmej rano słychać było kilkanaście strzałów karabinów z kierunku punktu przejściowego Szumleś. Połączyłem się telefonicznie z Komisarjatem Skarszewy i tam usłyszałem straszną wiadomość: Niemcy rozpoczęły działania zaczepne przeciwko Polsce. Wojna! Wojna!

Niemcy sami rozpoczęli działania wojenne bombardując Katowice, Kraków, Grodno, Białą Podlaską, Grudziądz, Tczew i wiele innych miast polskich, a te detonacje, które przypisywałem naszym działom w Tczewie, były to detonacje niemieckich bomb lotniczych.

Dostałem rozkaz z Komisarjatu opóźnić marsz nieprzyjaciela do nowej Karczmy, a stamtąd pod osłoną jednego szwadronu 2 pułku szwoleżerów ze Starogardu — wycofać się na Kościerzynę, uprzednio wysadzając mos na szosie. Rowery mieliśmy przygotowane do odjazdu. Na bagażnikach po trochę bielizny, płaszcz, peleryna i inne drobiazgi toaletowe. Czekaliśmy nieprzyjaciela.

Około godziny 13 rozległy się strzały karabinowe z kierunku budki przejściowej Szpon i słychać było huk granatów. Pojechaliśmy tam w czterech i od gospodarza, któ-

ry orał dowiedzieliśmy się, że hitlerowcy najpierw oddali do niego kilka strzałów karabinowych, a potem obrzucili granatami budkę kontrolną. Posiedzieliśmy na wzgórzu pół godziny, obserwując ruch po gdańskiej stronie i wróciliśmy na placówkę, rowery zostawiając we wsi.

Około godz. 15-tej saperzy nasi wysadzili most na szosie do Szumlesia. Dowiedziałem również że placówka Guzy wycofała się. Egertowo trzyma się ciągle. Mam z nim stały kontakt telefoniczny.

O godz. 16 dowiaduję się, że oddział hitlerowców ma przekroczyć granicę, aby zniszczyć budynek skarbowy i zająć wieś. Chcę o tym zameldować do Komisarjatu, lecz nie mogę uzyskać połączenia. Łączę się z dowództwem wojskowym w Kościerzynie, melduję i proszę o przyłanie pomocy — otrzymuję odpowiedź odmowną. Łączę się z 2 pułkiem wojskowym w Starogardzie, tam dostaję taką samą odpowiedź, z uzupełnieniem, że mam trzymać się, ile mi tylko sił starczy, przynajmniej zaś do godz. 1 ej, a potem wykonać swoje zadanie. W promieniu 50 km. już w tym czasie nie było ani jednego żołnierza. Komisarjat Skarszewy wycofał się już o godz. 10 rano, i nawet o tem nie zawiadomił: albo nie miał czasu, albo poprostu nie uważał tego za potrzebne.

Ja jednak o tem nie wiedziałem. Trwałem na placówce przez cały dzień. Aż przyszła noc. Około godz. 8 wieczorem czujki doniosły, że «ida». Słychać było warkot motocykli i głucho dudnienie po szosie. Człogi czy artylerja?

Nakazałem wycofanie się już pod bezładnym i niecelowanym ogniem niemieckich karabinów maszynowych skierowanym na budynek placówki. Słyszałem trzask wylatujących szyb. Radio, stojące na oknie, którego słuchaliśmy przez cały czas — umilkło. Wsiadliśmy na rowery i polnemi ścieżkami, jadąc w kierunku szosy z Gdyni do Kościerzyny, wycofywaliśmy się, ile sił starczyło, aby zając nakazane stanowisko. Zaden z nas jeszcze ognia nie otworzył. Zaleciłem nie zdradzać naszej obecności. Na szosie przed Nową Karczmą, pomiędzy dwoma jeziorami Grabowo i Grabówko zajęliśmy stanowiska, czekając nieprzyjaciela.

Za dwie godziny znowu usłyszeliśmy ten sam charakterystyczny szum. Zbliżali się. Serca nam gwałtownie bić zaczęły. Co teraz nastąpi? Jaki obrót weźmie nasza pierwsza potyczka? Mam 10 ludzi, lecz mam również rozkaz powstrzymać nieprzyjaciela co najmniej do godz. 1-szej. Zdecydowany byłem wykonać ten rozkaz z całą dokładnością, bez względu na skutki. Nie myślałem o śmierci, nie wierzyłem w nią. Zapomniałem o jej istnieniu, mimo że wokół trwała noc i niepewność tego, co będzie. Strzał z mego karabinu miał być sygnałem do otwarcia ognia. Czekałem aż zbliżą się na odległość strzału. Szum motorów staje się coraz wyraźniejszy. Nam się zdawało, że to tuż, tuż, oni jednak byli jeszcze daleko. Wreszcie przed nami coś zamajaczyło. Cykliści niemieccy. Jechali przed oddziałem zmotoryzowanym, aby badać drogi i rozpoznawać z zachowaniem ciszy. Żegnając się, oddałem strzał, a za moim posypał się gęsty ogień kolegów. Każdy miał oddać po 5 strzałów, aby wywołać duże natężenie ognia. Udało się znakomicie. Niemcy pospadali z rowerów, ranni czy zabici? — nie wiem. Zatrzymali się jednak. My korzystając z tego, na rowery i nawet nieostrzeliwani przez nich odpłynęliśmy spokojnie do tyłu.

Minęliśmy Nową Karczmę, gdzie miał

nas osłaniać jeden szwadron szwoleżerów. Niema nikogo. Wieś jakby wymarła. Posterunek policji otwarty, papiery bezładnie porzucane po podłodze, jakieś stare spodnie policyjne rozwieszane na krześle.

Postanowiłem raz jeszcze powstrzymać nieprzyjaciela w rejonie mostu od Nowej Karczmy do Kościerzyny. Była godzina 23.38, gdy zajęliśmy stanowiska. Mam półtorej godziny czasu do utrzymania, dalej niech się dzieje co chce. Zajęliśmy stanowisko okrakiem na szosie. Przed nami ciemna wstęga puste drogi, w prawo las, za nami na wysokim nasypie most, który za chwilę ma wylecieć w powietrze. Zastępcy kazałem otwierać ogień, jak ich zobaczy, ja przygotowuję most do wysadzenia. Udałem się pod most i stwierdziłem, że zapakowany jak należy, końce od drutów elektrycznych wyciągnięte do tyłu jakieś 200-250 m., dół dla wykonującego zapalenie przygotowany — wszystko w najlepszym porządku. Na mój gwizd mieli wycofać się do rowerów pozostawionych około 300 m. w tyle. Ja za nimi miałem zaraz wysadzić most. Nie zrobiłem tego. A dlaczego — powiem dalej.

Siedząc koło mostu, czekałem, kiedy rozpocznie się ogień. Pierwsze strzały padły o godz. 018. Patrzyłem w tym czasie na zegarek. Niemcy odpowiedzieli rzadkim ogniem i wszystko narazie ucichło. Przystuchiwaliśmy się, czy nas nie obchodzą. Mgła padała z drzew, słychać było monotonne spadanie kropel na szosę. Poza tem cisza była kompletna.

Wreszcie odezwały się głosy, a nawet dość mocne. Na nasze stanowiska, na las, prawą stronę szosy zaczęły padać pociski artyleryjskie, z niedalekiej odległości, bo uderzając po szosie sprawiały wrażenie, że rekoszują. Było to złudzenie. Przypuszczam, że Niemcy strzelali z małych armatek na czolgach, czy na motocyklach; w takie armatki podobno były wyposażone niemieckie oddziały rozpoznawcze.

Dalem sygnał do wycofania się. Przebiegli pędem koło mnie. Zaczekałem jeszcze trochę i już miałem połączyć koniec baterji, gdy odczułem silne uderzenie w bok i jak klęczałem, tak obsunąłem się do wykopanego rowu. Czy długo tam leżałem nie wiem, straciłem bowiem przytomność. Obudziłem się w rękach moich kolegów, którzy niedoczekawszy się mnie, zawrócili.

I co się okazuje? Jakiś pocisk artyleryjski spowodował przedwczesną detonację. Kępa ziemi uderzyła mnie w bok, uszkodzając, a potem jak się przekonałem łamiąc chrząstkowe końcówki piątego i szóstego żebra. Od tego straciłem świadomość,

Przyszedłem trochę do siebie. W uszach mi szumiało ogromnie. Nic nie słyszałem. Może jeszcze były, gdzie jakie strzały, ja ich nie słyszałem. Niemieckie natarcie zatrzymało się jednak.

Ruszyliśmy. Z trudem trzymałem się na rowerze. Nie słyszałem co do mnie mówiono, nie zdawałem sobie nawet sprawy, dokąd jadą. Koledzy jechali, więc i ja z nimi. Na skrzyżowaniu szos spotkałem auto z ewakuowanymi z Kartuz. Jeden z kolegów zatrzymał je i wsadził mnie wraz z rowerem. Zastępcy — kazałem jechać do Starogardu i tam zameldować się z placówką w Dowództwie 2 Pułku Szwoleżerów.

Pożegnałem się z chłopakami, więc już ich nie widziałem. Czy żyją i co się z nimi dzieje — nie wiem.

Stanisław Sikorski

Kronika obozowa

Napływają strumienie ludzi. Przeciąga drogami obozu barwny tłum mężczyzn w cywilnej różnorodności czapek, kapeluszy, szalików na szyi, marynarek i płaszczy, z paczkami, walizkami, z zawiniątkiem zaledwie niektórzy. Przed budynkiem świetlicy, kędy mieszczą się izby punktu zbornego i biura ewidencji, ustawiają się gęsto, już w szeregach, już pierwszemu wojskowemu porządkowi poddani.

Typy najrozmaitsze. Wielu jeszcze ochotników, różnych stopni. Inni już poborowi. Owdzie cała grupa rekrutów siadła koło walizek pod murem, czekając swojej kolei, gdzieindziej zebrali się obozowi żołnierze, aby przywitać towarzysza, który dopiero przybywa z cywila. Spotyka się tu sutanny, spotyka postacie wiarusów i weteranów, którzy na klapie marynarki zawiesili swoje medale, niby wspomnienia minionych polskich bojów na obcych ziemiach i w kraju samym. Niejeden z przybyłych mimo cywilnych płaszczy i kapeluszy, samym tylko krojem butów długich i spodni wojskowych zdradza, że przybył z frontu polskiego, że się przebrał z obozów w Rumunji albo na Węgrzech i spostrzeżenie to potwierdza wyrazem twarzy zarośniętej, zmęczonej wielodniowym trudem podróży.

Trafiają się marynarze; czasem w skórzanym, lśniącym płaszczu lotnika, albo pancernik. Są i tacy, którzy już częściowo zdążyli się umundurować, ale zamiast furazerki czy beretu jeszcze kapelusze noszą, i owijacze przy półbucikach. Nikt się tem nie przejmuje, a wielu bawi serdecznie, bo też widok jest nieraz taki, że się za boki brać można. Nie inaczej wyglądała ta przejściowa faza zmieniania skóry, zamieniania indywidualnych upodobań stroju na mundurową jednostaj-



St. Juraszek: Nasi francuscy instruktorzy (Objaśnianie granatu ręcznego)

ność wojska. Wielka ludzka gromada, „pospolite prawdziwie ruszenie” roztapia się powoli i rozdrabnia na poszczególne oddziały, wnika między baraki, zaczyna żyć rytmem i jako fragment tej zbiorowości, której na imię obóz. A pomieszczony w ramach jego pracy i planów, miejsce zostawia dla nowego tłumy przybyszów...

Spotykają się tutaj niespodzianie niewidziani dawno przyjaciele, odnajdują krewni i znajomi. W strzępach rozmów coraz to pojawia się na ustach nazwa jakiegoś miasta w kraju, wsi jakiejś, nazwisko czyjeś, imię najdroższe. Krzyżują się pytania o wiadomości, kręci się w oku łza.

Którzy przeżyli tamten wrzesień w Polsce, mówią swoim towarzyszom broni, jak to było. Z drobnych wrażeń, spostrzeżeń i odczuć, z zamienionych w rozmowach wspomnień rysują się dzieje pierwszych tygodni



Plk. Conte — dyrektor kursu przeszkolenia

tej wojny, która na ziemiach naszych pisze się wciąż jeszcze wielkością przeraźliwego męczeństwa. Niejedna zaciska się pięść, niejedno serce wypełnia stanowczość i siła i wola pomsty.

Podsycia to poczucie każda nowa wiadomość, każde przybycie gazet. Rzuca się na nie spragniona gromada żołnierska i w każdej szuka oznak postępu wojny. Francuscy sprzedawcy gazet wykrzykują nazwy polskich pism „Wiarus” i „Narodowiek” i pozbywają się ich w tempie bardziej, niż szybko. Podobny zbyt ma prasa francuska. Kasyno oficerskie, niby szumiąca przepelnieniem i dymem kawiarnia, szeleści płachtami prasy różnych języków. Powtarzają się tutaj sceny spotkań niespodziewanych, gorących przywitań i żarliwych rozmów o sprawach tak dalekich obszarem i nienawisną, krwią i krzywdą nie do darowania.

Inny obraz życia poza służbą, to codzienne, pilne obłożenie wypożyczalni książek, obok świetlicy, to widok żołnierzy, zaczytujących się w wolnych godzinach tym wyborem beletrystyki, jakim biblioteka obozowa z trudnością zaspakaja głód czytelnicy — jakiś masowy, wzruszający pęd do polskiego słowa.

Wśród polskich mundurów w kasynie widnieją popularne postacie francuskich instruktorów, którzy prowadzą wykłady dla oficerów. Symbolem współpracy francusko-polskiej na najmniejszych odcinkach bywają te improwizowane komisje językowe, które przy czarnej kawie po obiedzie wypracowują słownik terminów wojskowych polsko-francuski. tłumaczą regulaminy i instrukcje. Owocność tych posiedzeń mimo braku pomocy technicznych łatwo sobie wyobrazić, skoro większość instruktorów tutejszych zna nietylko Polskę, ale i umie po polsku. Podczas „lampki wina” na zakończenie pierwszego oficerskiego kursu doskonalącego, uczucia przyjaźni polsko-francuskiej, której nowa forma wykształca się w pracy codzien-

nej na terenie obozu, znalazły wyraz w słowach przemówień, które dyktowała wzajemnie potrzeba serca. Gorliwość i zapał, z jakim wypełniają swoje zadanie ci oficerowie, powołani do przeszkolenia naszej kadry pozwalają przypuszczać, że się w stosunku ich do sprawy polskiej i nowej armii, która tę sprawę stawia i reprezentuje, kryje odruch nietylko rozumu, ale i uczuć. Byli przecież świadkami wrzesniowej kampanji i widzieli na własne oczy, co to była za wojna. Wiedzą wymiar nieszczęścia, jakie walcąc się na jeden kraj, innym pozwoliło przygotować się tem lepiej do zwycięstwa.

Pięknie i wzruszająco mówił pułkownik Conte, w którym Polacy nauczyli się widzieć i cenić wyborowy przykład francuskiego oficera z wszystkim, co najlepszego kultura łaćńska posiada w formowaniu ludzi, pięknie i wzruszająco mówił o zrozumieniu, jakim Francja otacza sprawę wiernej swojej sojuszniczki, o nadziejach, jakie w oparciu o to zrozumienie wolno nam żywić. Oni to wszyscy dzień w dzień dają nam przykład, jak wygląda wprowadzenie tych słów zachęty i wiary w czyn, który z naszej woli stanie się wkrótce już czynem zbrojnym.

Oblicze obozu zmienia się szybko. Budują się coraz liczniejsze baraki. Wartownię u bramy wejściowej, przy której służbę oddawna pełnią już polskie oddziały wartownicze, przekracza coraz to nowy kontyngent ochotniczy lub poborowy. W minionym tygodniu przekroczyła bramę obozową i przeszła rojnemi arteriami w pełnym szuku orkiestra górnicza witana entuzjastycznie.

Z kronikarskiego obowiązku, aby wyczerpać temat sylwek obozowych wspomnieć tu Hiszpanie — Katalończycy wybrani z obozów sąsiadujących. Ci byli żołnierze, młodzież robotnicza, która starannością i uczciwością zaskarbiła sobie, mimo trudności w porozumieniu, ogólną naszą sympatię, jeden dzisiaj posiada wspólny uczuciowy mianownik, który nie pozwala jej patrzeć obojętnie na nasze przygotowania — a mianownikiem tym jest wykształcona w wojnie hiszpańskiej nienawiść i pogarda dla Niemców.

Aleksander Janta-Polczyński



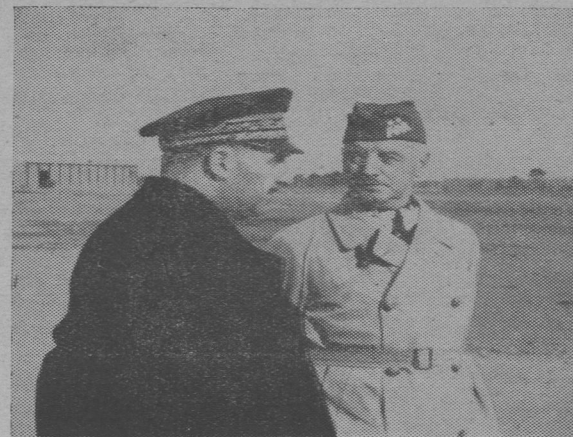
St. Juraszek: Nasi francuscy instruktorzy (Objaśnianie karabinu maszynowego)



W oczekiwaniu



Rozmowa z żołnierzami



Gen. Denain — Gen. Sikorski

WÓDZ WŚRÓD ŻOŁNIERZY

Fotografował Aleksander Janta-Polczyński



Defilada pierwszych szeregów

DO ŻOŁNIERZY

Wali się na nas noc dziejów. Jak ciemno i jak
[laurowo]

Została smutna chwała i męczeńska palma.
I jesteśmy, jak dawniej, na nowo
Pielgrzymami, za tym z placu Alma.

Nie płacz po nocach, kolego.
Wiem, głucho. I każdy z nas tęskni.
Lecz nie mamy przed sobą niczego,
Tylko wybór zwycięstwa, lub klęski.

Orły nasze rozbite, ale Orzeł lata,
Zmilkła fala Warszawy, lecz bije jej tętno.
Do nas dzisiaj należy zdjąć z oblicza świata
Barbarzyństwa bezwstydną piętno.

Żołnierze, błękitni chłopcy,
Ponad granic zamilkłe okopy,
Wbrew przemocy, przeciw sile obcej
Podniesiemy sztandary Europy.

Gwałt się gwałtem odcisnie. Zemsta będzie krwawa,
Odkąd słońce na naszych bagnietach zabłysło.
Pamiętajcie — tam czeka milcząca Warszawa,
Nasze niebo i ziemia nad Wisłą.

Woj. icch Budzik

Obóz Polski, w listopadzie

ATAK NA FINLANDJĘ

Rano, w południe i w wieczór wrzeszczało radio moskiewskie: „Białogwardyjskie wilki fińskie chcą napaść na naszą sowiecką ojczyznę...”, „Błążny rządzący Finlandją chcą trzymać nasz Leningrad pod groźbą armat...”, „Nie zniesiemy dłużej fińskich prowokacji”, „Będziemy bronić do ostatniej kropli krwi naszej ojczyzny. Niezwyciężona czerwona armja nauczy błążnów fińskich rozumu...” Słowem królik rzuca się na niedźwiedzia...

Tak trwało przez dni kilka. Jednocześnie 26-go listopada p. Mołotow żądał wycofania wojsk fińskich z nad granicy, 28-go wypowiedział traktat o nieagresji, 29-go w chwili, gdy do Moskwy przybywała nota fińska akceptująca wszystkie żądania sowieckie — zrywał stosunki dyplomatyczne z Finlandją odrzucał propozycje pośrednictwa Roosevelta. A 30-go od rana wojska rosyjskie poczęły wkraczać do Finlandji a rosyjskie aeroplany rozpoczęły mordowanie kobiet i dzieci w Helsinkach, w Wyborgu...

Wojska fińskie się broniły. Rząd jednak ustąpił, by dać nowemu rządowi możliwość porozumienia się z Rosją. Gotów był ten nowy rząd przyjąć warunki, których odrzucenie spowodowało kilka tygodni temu zerwanie długich i mozolnych rokowań. Gotów był na ustąpienie części Karelji należącej do Finlandji, na ustąpienie wyspy Hangoe, na traktat przyjaźni. Gotów był podzielić los Łotwy, Litwy i Estonji, bo zdawał sobie sprawę z niewspółmierności sił i z tego, że nikt mu nie pomoże.

I niepoprawni optymiści, ci sami, co zapewniali, że groźby sowieckiej gazety „Pra-

wdy” i radja sowieckiego, że kampanja meetingów przeciw Finlandji jest tylko środkiem nacisku dyplomatycznego poczęli zapewniać z powrotem, że rosyjska akcja wojenna ma jedynie na celu okupację tych terytorjów, których Rosja żądała w czasie rokowań, że niepodległość Finlandji nie będzie zagrożona. Rozczarowanie przyszło bardzo prędko. Już pierwszego grudnia radjo moskiewskie ogłaszało odezwę „prowizorycznego rządu Finlandji”. Rząd ten — bolszewicki — powstał pod jej skrzydłami w

Próba okrutna tak dobrze nam wiadoma, przed którą stanął naród fiński i jego armja, wzbudza w nas — żołnierzach polskich — uczucie bratniej solidarności. Na daleką północ, drogą przemierzaną przez nasze własne tęsknoty — ku ludowi napadniętemu, ku wojsku walczącemu z wrogiem silnym i przebiegłym kierujemy myśl i serce. I myśl i serce każą nam wierzyć, nakazują przesyłać w tamtą stronę postanie wiary w zwycięstwo rodziny narodów bałtyckich, wiary w nadejście tej chwili, w której narody bałtyckie, naprzekór dwu drapieżcom wydzierającym sobie łup, zaczną zgodnie władać swoim morzem, zaczną zgodnie gospodarować nieocenionem dobrem Bałtyku.

miasteczku Teriokach, które już była zajęła czerwona armja. I w odezwie swej żądał od czerwonej armji właśnie pomocy dla obalenia „kapitalistycznego” rządu fińskiego, będącego na usługach obcych imperjalizmów. Karty zostały odkryte.

Tak, to nie o Hangoe i o parę kilometrów ziemi fińskiej szło oczywiście Stałino-wi. Celem jego jest zagarnięcie całej Finlandji zapewne pod formą sowieckiej republiki fińskiej. Dawne granice Rosji carskiej mają więc być przywrócone, a nawet rozszerzone. Imperjalizm sowiecki czuje się spadkobiercą tego Piotra Wielkiego, którego sławi więc kino i literatura sowiecka, tak samo jak sławia Kutuzowa i kata Pragi Suworowa.

Ten sens jest jasny. Bez wojny — jeśli można — tak, jak to było z Łotwą, Estonją i Litwą, minimalnym wysiłkiem wojennym — jak w Polsce i Finlandji — Rosja, korzystając z wojny światowej, rozszerza swe granice, umacnia swe pozycje. Wie, że i Hitler musi się na wszystko zgodzić, że musi przyjąć przewagę Rosji na Bałtyku bo całą swą nadzieję opiera dziś na pomocy rosyjskiej.

Ale inne powstaje jeszcze pytanie: Czy to wyczerpuje ambicje rządów Kremlu? Czy istotnie chcą oni jedynie zaokrąglić swój stan posiadania, wzmocnić Rosję Sowiecką, wyzyskać aż do końca bezkarność, którą im daje pozorna neutralność w konflikcie zachodnim?

Oto są zasadnicze pytania, które narzuca odbiór Finlandji.

xxx.

Redakcja „Polski Walczący” prosi o nadsyłanie wszelkich materjałów literackich, rysunkowych i fotograficznych do Sekretarjatu, który mieści się w Bibliotece Obozu (budynek C 1 obok Świetlicy)

Polska czy francuska?

Chodzi nam tu o kuchnię. Z początku była francuska, no i żalono się srodze, że to „nie dla nas”, że jakieś figielki, że niema naszych zup (jak barszcz czy kapuśniak), że niema naszych potraw (jak bigos czy kluski ze skwarkami), że kasz nie dają, że zupa wieczorem, a nie w południe. że ser „spleśniały” (!!), że nie na oleju powinno być, tylko na szmalcu, że po co wino, lepiej herbatę i.t.d. A potem była polska, i znów się żalono, że nie do tego tutaj przywykli, że za dużo mięsa, a za mało jarzyn, że za mało sera, że dłaczego na szmalcu, a nie na oleju, że za mało wina, i tak cała litanja.

A wszystkiemu winna ta „kuchnia francuska” lub też „ta polska kuchnia”. Jak to więc jest właściwie?

„Kuchnia”, czyli innemi słowy sposób przygotowania i wzajemnego dobierania potraw, jest zagadnieniem, o którym w różnych krajach pisa-no całe tomy. W miarę rozwoju cywilizacji zmieniały się i udoskonalały zwolna metody, dzięki którym ludzie wykorzystywali jadalne dary przyrody. Zakres rzeczy „jadalnych” zwiększał się stale, n.p. kartofle, te nasze polskie ziemniaki, są znane w Europie dopiero od czasu odkrycia Ameryki, większość jarzyn, które jadamy w Polsce, sprowadziła do nas królowa Bona (stąd t.zw. włoszczyzna), pieprz i inne korzenie zjawiły się na

codziennym stole (a nietylko jako przysmak na magnackim) dopiero po odkryciu przez Magellana nowych dróg morskich. Jakże daleka jest droga od stawy pierwotnego jaskiniowca do najprostszej zupy z naszego obozowego „kotła”, nie mówiąc już o wyszukanych smakołykach restauracji paryskich.

Smak doskonalił się i różnorodność potraw wzrastała stale. Jednakże nie wszędzie rozwój ten szedł temi samemi drogami. Mimo stałego, wzajemnego przenikania „specjalności” kulinarnych z jednego kraju do drugiego (tak że dzisiaj przeciętny obiad restauracyjny nie wiele różni się od siebie w Warszawie, Londynie czy Paryżu), mimo stałego procesu umiędzynaradawiania się kuchni (i u nas je się bez liku potraw t.zw. cudzoziemskich, jak gulasz węgierski, makaron włoski, sznyceł wiedeński, czy omelet francuski), „kuchnie” t.zw. „narodowe”, a nawet regionalne utrzymały się, o czym wiedzą tak dobrze nasi chłopcy z emigracji, jak i ci przybyli z kraju. A więc tak, jak np. we Francji ta nasza tutaj Bretanja słynie z cidre'u (jabłeczniaka) i swych crêpes (rodzaj naszych naleśników, z różnych rodzajów mąki), a powiedzmy okolice Strasburga ze swych gesich pasztetów i win alzackich, tak i u nas, każdy wie, że kolduny to potrawa najlepiej przyprawiana gdzieś koło Wilna, a kiełbasy mistrza Galicy w Zakopanem to przysmak godny królewskiego stołu.

Na to zróżniczkowanie kuchni wpływa wiele czynników: więc przede wszystkim klimat i położenie geograficzne, a potem warunki gospodarce i społeczne danego środowiska. Inne może i musi być pożywienie w mroźnej Finlandji (np. zwyczaj picia alkoholu na czczo), lub w mglistym i dżdżystym Londynie (np. ogromnie obfite pierwsze śniadanie z mięsem i rybami), a inne w rozświetlonej Italji. We Francji dzięki różnorodności klimatów, dzięki bogactwu ziemi i wrodzonemu smakoszostwu mieszkańców, kuchnia rozwijała się niesłychanie bujnie, i nietylko stała się dla całego świata wyrazem najwyższej kultury podniebienia, ale gałęzią prawdziwego przemysłu narodowego, ściśle związanego z turystyką.

Tak więc nierzadko spotyka się Francuza i to wcale nie przedstawiciela klasy uprzywilejowanej, lecz rzemieślnika czy też małego kupca, który w czasie wakacji nałoży na swej „simce” czy kulawej „cytrynce” grubą szmat drogi, aby zjeść tę czy inną potrawę w jakiejś oberży, o której mu na ucho (aby się zadużo ludzi o tym skarbie nie dowiedziało!!!) opowiadał przyjaciel, lub o której wyczytał w przewodniku gastronomicznym, jakich cała masa co roku ukazuje się na półkach księgarskich. A potrafi on te smaczki kuchenne należycie ocenić, bo prawie każdy Francuz sam lubi i umie pitrasić, i nie zawstydzi się

w wolnych po pracy chwilach stanąć za kuchnią przygotować ulubioną potrawę.

Toteż sztuka kucharska jest we Francji sztuką szacowną, tutaj powstał pierwszy "kodeks gastronomiczny", a recepty kucharskie są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Stare, znane potrawy utrzymały się dotąd w ciągu wieków, a ulepszone dzięki współczesnym sposobom przygotowania pokarmów stanowią chlubę gastronomii, czyli nauki i sztuki jedzenia.

Położenie geograficzne zezwalające na ho-

dowlę najrozmaitszych win, owoców i jarzyn, pomysłowość hodowców, wysoka kultura ogrodnicza, stara tradycja kuchmistrzowska stworzyły podstawy kuchni francuskiej, której istotną cechą jest nie ilość, lecz jakość każdej potrawy. Mniej, niż u nas mięsa (skutek łagodniejszego klimatu), więcej jarzyn i owoców, i ich większa różnorodność, mnogość gatunków serów (jest ich podobno około 400 rodzajów) i niezwykła różnorodność win cechuje kuchnię francuską. Kuchnia ta jest nietylko smaczna (oczywiście do każdej rzeczy trzeba się przyzwyczaić), ale i dzięki swej różno-

rodności i nieprzeciążaniu żołądka zbytnią ilością tej samej potrawy, bardzo zdrowa. Zresztą nie należy winić kuchni francuskiej za złego kuchcika, który przypalił ryż w "kotle".

Czy nasze wojsko we Francji będzie jadło "kuchnię polską czy francuską" czas to pokaże; zaczynają już w większych ilościach do nas napływać chłopcy z poboru, którzy przeważnie, tutaj wyrosli, a wielu tu się urodziło i do francuskich warunków bytowania zupełnie przywykło.

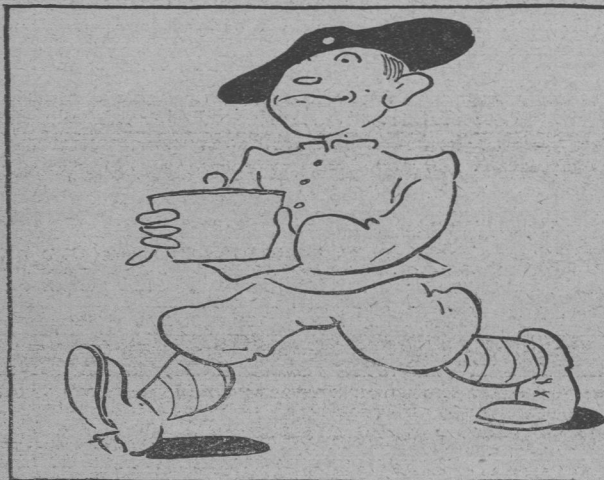
Maścibrzuch

PIECYK I RZEPKA

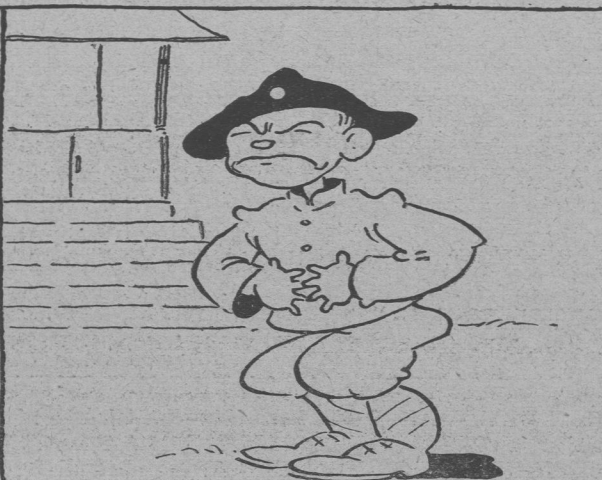
CZYLI

PRZYGODY DWÓCH OCHOTNIKÓW W KOCZKODANIE

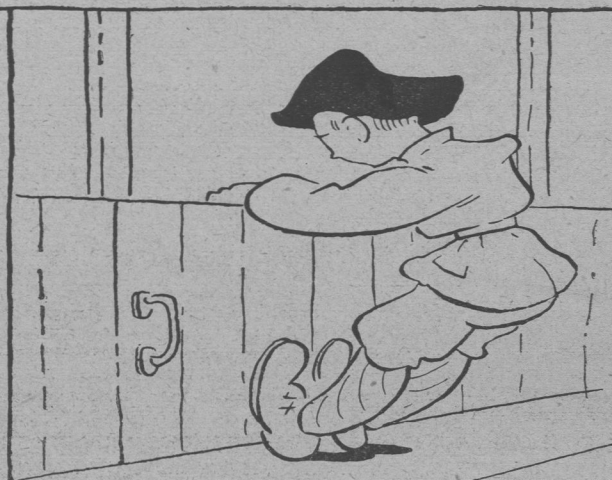
Rysunki Mariana Walentynowicza



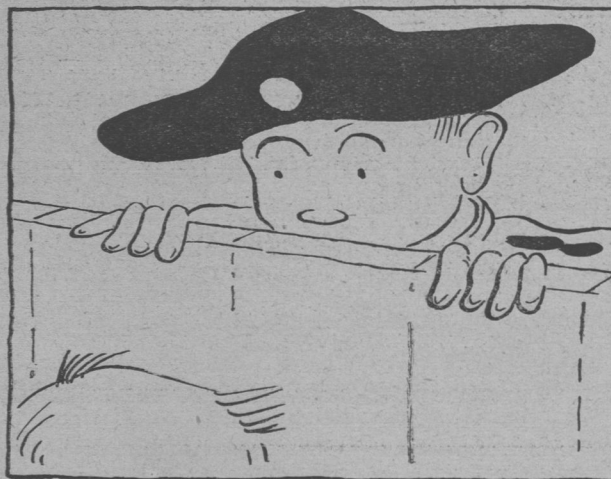
Leoś Piecyk, strzelec żywawy,
(Co przyjechał wprost z Warszawy)
Dobrze strzela, dużo gada
I apetyt ma nielada.



W któryś piątek — sprawa gorsza
Zjadłszy dużą porcję dorsza,
Wyszedł na dwór dla ochłody...
Raptem widzi jakieś schody.



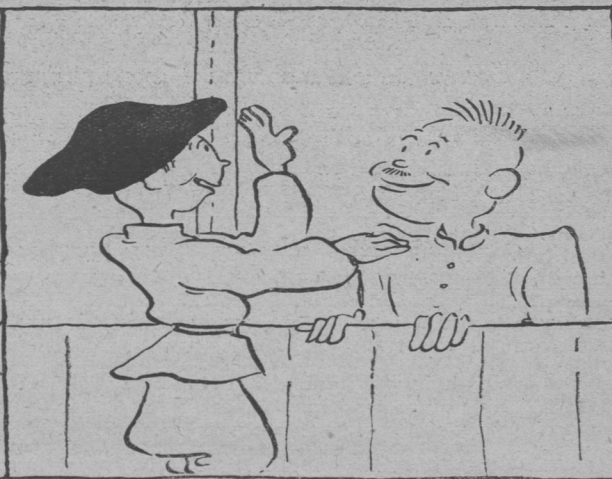
Źle mu zrobił „syder” z rybką...
Leoś wbiega bardzo szybko,
Do drzwi puka niecierpliwie
(Czemu wcale się nie dziwie).



Próżno Leoś się dobija:
Co za granda! Co za chryja!
Drzwi zamknięte na zasuwkę!
W dole widać czyjaś główkę.



Nadąsany i ponury
Strzelec Piecyk zérka z góry:
Któż tam jest? To nie do wiary!
Franus Rzepka, kompan stary!



Cóż za miła niespodzianka!
Leoś Piecyk ścisła Franka:
— Jak się miewasz, bisurmanie,
Co ty robisz w Koczkodanie? (c. d. n.)

Cena numeru — 1 fr. Prenumerata kwartalna — 10 fr.

Ceny ogłoszeń: strona — 500 fr.; 1/2 strony — 280 fr.; 1/4 strony — 150 fr.; 1/8 strony — 75 fr.; 1/16 strony — 40 fr. Ogłoszenia przyjmują punkty sprzedaży

Imprimerie Edoneur; 65, Avenue du Mail, Rennes.

Le Gérant: J. Ramage